

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

5

— Wstawaj — mówi panna Antonina — patrz! Nie zgasiłaś świecy!... Mogłaś pożar wzniecić i sama się spalić! To jest twoja uwaga! jak małe dziecko dozorować trzeba!... Bierz pościel i idź spać...

Józia wstała w milczeniu, wzięła ze sterty pościeli na łóżku — kołdrę i poduszkę i wyniosła się cicho do drugiego pokoju, by sobie urządzić, jak zwykle, na kanapie poślanie.

Nazajutrz od rana zapanował między Józją i ciotką jakiś wymuszony, kłopotliwy nastrój.

Podczas ubierania się i przy śniadaniu nie kłócili się wcale, nie rzucały sobie nawzajem gniewnych, czy uszczypliwych słów, ale też rozmawiały ze sobą bardzo mało.

Józia miała dzisiaj słodkie, łagodne, jakby nieśmiałe spojrzenie i była cicha, spokojna, milcząca. Na pytania odpowiadała grzecznie, ale krótko, a pierwsza nie odzywała się zupełnie.

Panna Antonina miała chmurę na czole, spoglądała na siostrzenicę z ukosa, mówiła do niej tylko w razie koniecznej potrzeby i także bardzo lakonicznie, co było zupełnie niezgodne z jej przyzwyczajeniem.

Około dziewiątej godziny przyszła posługaczka — tęga, przysadkowata, czerwona dziewczka. Zaczęło się sprzątanie i przygotowanie do obiadu.

Zanim jednak posługaczka wzięła się do roboty, podeszła do Józji i, rozciągając w znaczącym uśmiechu swoje szerokie, mięsiste wargi, podała jej mały jakiś przedmiot, owinięty starannie w różową bibułkę.

— To dla pani... Ten panicz z „naprzeciawka” kazał panię oddać... Mówił, że był rano na „szpacyrze” to narwał tych „kwietczków”.

Józia rozwinęła bibułkę, z pod której błysnęła biała wiązanka śnieżyczek.

Uśmiech zadowolenia rozjaśnił twarz dziewczyny. Pierwszą kwiaty tej wiosny!

— Jaki ten Adaś dobry!... Jaki subtelny!... Jak wie i pamięta, czym jej można zrobić przyjemność!... Umyślnie się wybrał po te śnieżyczki!

Jakoś ciepło i miło robi się Józji koło serca, że też ktoś jeszcze o niej pamięta. Ogarnia ją uczucie wielkiej wdzięczności dla Adasia.

— Dziękuję, że Małgosia przyniosła... A jak Małgosia będzie wracać, to proszę panu Adamowi odemnie podziękować... Bardzo lubię te kwiatki.

Józia podeszła do zastawionej przeróżnymi drobiazgami pułki, aby wyszukać stosowny flakonik dla tej delikatnej, wdzięcznej wiązanki.

Panna Antonina w starej, zniszczonej spódnicy, w psim barchanowym kaftanie z włosami owiazanymi chustką — odkurza miotłką z kogucich piór obrazki i fotografie i omiata na suficie niewidzialną tam zresztą pajęczynę.

Wbrew zwyczajowi swemu, głośno nie wypowiada żadnej uwagi, ale rzuca na białe bukietki takie wymownie zjadliwe spojrzenie, że Józia odruchowo zakrywa ręką kwiaty, jakby chciała uchronić te drobne, delikatne, niezupełnie jeszcze rozwinięte dzwoneczki przed jakimś niedobrym „urokiem”.

— Otwórz okno — rzuciła krótko panna Antonina, widząc, że Józia postawiła już flakonik ze śnieżyczkami na stoliku — Pogodny dzień dzisiaj. Trzeba przewietrzyć mieszkanie.

Dziewczyna w milczeniu spełniła rozkaz. Fala chłodnego powietrza wdarła się do pokoju.

— Może cioci pomóż w czym?

— Eh! Tam twoja pomoc!... Już ty tylko siedź spokojnie i nie przeszkadzaj.

Józia wzrusza lekko ramionami i, zagłębiwszy się w wygodnym, niskim foteliku, zabiera się do haftowania zaczętego ornatu. Chciałaby chociaż w ten sposób dogodzić ciocie.

Nagle z przeciwległego domu, w którym także otwarto okna, rozlegają się śpiewne tony skrzypiec. Płynie rozmarzająca „Pieśń wiosenna” Mendelsohna.

Józia przestaje nawlekać jedwabiem igłę, pochyla głowę trochę naprzód i słucha. To Adaś

Zmorski gra dla niej jej ulubioną „Pieśń wiosenną”.

— Oho! Zaczyna się rzempolenie! — sarknęła panna Antonina — Ale dlaczego ten smyk do szkoły nie poszedł?

— Mają dzisiaj wolne, bo to imieniny dyrektora — odrzuca niecierpliwie dziewczyna, niezadowolona, że jej ciotka swoim gadaniem psuje wrażenie pięknej muzyki.

— Hm! — mruknęła pod nosem ciotka — Jak to ty jesteś dobrze poinformowana...

Nie otrzymuje na to żadnej odpowiedzi, bo Józia zasluchana jest w czarowne dźwięki „Pieśni”, która marzy, prosi, śpiewa o wiosnie, o kwiatach, o kochaniu...

Na ornatcie nie przybywa ani jeden ścieg.

Wtem... w rozmarzoną melodię „Pieśni” wmieszał się i zgłuszył ją prawie hałaśliwy turkot jadącej po nierównym bruku rozklekotanej dorożki. Dorożka! W cichej, bocznej małej ulicy gość rzadki i zajmujący.

— Do nas jedzie ten „fijakier” — krzyknęła Małgosia — Oho! Już stanął!... Jakiś młody pan przyjechał!

Józia rzuciła spojrzenie na ulicę i... nagle haft, igły, jedwabie — wszystko to poleciało na ziemię.

Dziewczyna zerwała się gwałtownie, zaczepiając w pośpiechu rękawem flakon ze śnieżyczkami, który, potrącony, z brzękiem upadł na dywan.

W jednej chwili Józji nie było w mieszkaniu.

Panna Antonina wydała przedewszystkiem okrzyk przerażenia na widok rozlanej na jej ulubionym dywanie wody. Chcąc go uchronić od plamy, rzuciła się sama na ziemię i zaczęła wodę wycierać.

Kawałki szkła i zdeptane, zmieciowane kwiatki kazała Małgosi zabrać i rzucić do śmieci.

Dopiero teraz przypomniła sobie o dorożce, wyprostowała się, spojrzała w okno i... oniemiała na chwilę, z ustami, szeroko ze zgrozy rozwarłymi.

We wszystkich oknach widać było głowy z oczyma błyszczącymi zaciekawieniem, a Józia!... Józia!... prawie, że się tuliła do piersi jakiegoś młodego mężczyzny, który ręce dziewczyny okrywał pocałunkami.

„Pieśń wiosenna” umilkła, przzerwana w pół tonu, jakby w skrzypcach nagle struna pękła, albo skrzypkowi opadła ręka.

— Jezus Marya! — jęknęła panna Antonina, odzyskując mowę — Znowu jakiś skandal!

Józia rzeczywiście w swojej szalonej, niepoahamowanej radości zapomniała zupełnie o tem, że robi z siebie widowisko dla ciekawych sąsiadów i ulicznych przechodniów. Choć, co ją to właściwie wszystko teraz obchodzić mogło?!

— Konrad!... Konrad!... Więc przyjechałeś do mnie...

— Tak, Józio moja, do ciebie i po ciebie! Wyjdziemy razem i zaraz weźmiemy ślub.

— Co?!

Fala szczęścia tak wielkiego, że prawie oszołamiała ono, przytomność odbiera — zalewa duszę dziewczyny.

— Tak, Józio, pobierzemy się już raz narzeczcie... A może ty nie chcesz zostać moją żoną? — mówi Konrad na pół żartobliwie, a chociaż najlepszą odpowiedzią jest radosne wzruszenie Józji, jednak coś, jakby leciutki niepokój pobrzękuje w jego głosie...

— Konradzie... Jak możesz... Ty wiesz...

Konrad spostrzegł już wszakże, że ich powitanie stanowi przedmiot ogólnego zainteresowania. Było mu to nieprzyjemnie, więc zaproponował:

— Może wejdziemy do domu... Przedstawił mnie twojej ciocie...

— Ach, prawda!... Boże! Jaka ja jestem roztrzępana... Jak ciebie zobaczyłam, o wszystkim zapomniałam!

Konrad, zamiast odpowiedzi, ścisnął mocno w swojej dłoni paluszki Józji. Nie rozumiał teraz, jak mógł tak długo ulegać matce, wahać się, namyślać, odwlekać — kiedy tutaj czekała na niego ta cudna dziewczyna — może w niepewności, w kłopotach, w zmartwieniu...

Zmizerniała, biedactwo, ale jest jeszcze piękniejsza, niż dawniej, bardziej urocza i taka słodka, szczerą, kochaną...

Józia wyprzedziła narzeczonego o kilkanaście kroków.

— Ciociu! — zawołała zaróżowiona z falującą szybko piersią — Ciociu! Mój Konrad! Mój narzeczony przyjechał!

Panna Antonina krzyknęła, chwyciła się rękami za owiazaną chustką głowę i z błyskawicznym pospiechem zniknęła za drzwiami sy-pialni. Nie mogła przecież w tak zaniebanym ubraniu przywitać gościa.

Młodzi nie odczuwali wcale jej chwilowej nieobecności. Prowadzili szybką, ożywioną rozmowę, przerywając sobie wzajemnie co chwila.

— Więc mamy się pobrać już... zaraz?

— Tak jest! Już pojutrze!

— Jaki, pojutrze?... To niemożliwe!... Zapowiedzi?...

— Jadę z Krakowa... Wyrobiłem sobie indult i...

— Ależ, mój ojciec...

— Porozumiałem się z nim... Zezwala...

— Ale wypraw!

— Dziecko! Dajże spokój z wyprawą!

— No, no, tak przecież chyba nie można?...

— Właśnie, że można, dziecinko... Czy ci się to nie podoba?...

— Podoba mi się bardzo, ale mnie dziwi trochę...

— Co cię dziwi?

— Taki nagły pospiech...

— Widzisz, Józio...

Konrad mimowolnie westchnął.

— Co? Co? Mówże!

— Zostałem asenterowany i przed odjazdem do wojska chcę się ożenić z tobą... — powiedział krótko, nie chcąc Józji drażnić długimi omówieniami.

Okrągła bródka zadrgała silnie, niebieskie oczy zaszkliły się łzami.

— Asenterowano cię!... Znowu!... O! Boże...

— No, Józka! Nie uderzajże w bek odrazu! Nie ma czego!... Zobaczysz, nic mi się nie stanie... Powrócę do mojej żonczki. Tylko chcę odjechać do wojska już jako twój mąż...

— Więc ja pojedę razem z tobą?!

Konrad roześmiał się głośno.

— Dokąd? Do wojska?...

— Tak!

— Ależ skądże, Józio!... To przecież niemożliwe!... Ty zostaniesz w Łykowie, razem z moją matką i siostrą.

Józia drgnęła i silnie strzepnęła ramionami, jakby ją nagle przebiegł zimny dreszcz. Twarz jej przybrała wyraz napół zdumiony — napół przeżony.

— Jaki z twoją matką — w jej domu?!

— No tak, cóż w tem dziwnego? — powiedział Konrad, trochę niepewnie.

— Ależ... ależ... Twoja matka na to się nie zgodzi!

— Już się zgodziła! Możesz być zupełnie spokojna! Już się zgodziła! — zapewniał Zarnicki tak gorąco i tak pospiesznie, że aż mogło to wydać się trochę podejrzanem.

Józia jednak nie posadzała narzeczonego o kłamstwo.

Była zdumiona, zaskoczona, ale wierzyła. To nagle przyzwolenie nieprzejednanej, wroglej do-tychczas matki Konrada wydało się jej dziwnem, niespodzianem, nieprawdopodobnem prawie — wierzyć jednak musiała, skoro ją Konrad o tem zapewniał...

Nic więc już nie stoi na przeszkodzie ich małżeństwu... Matka się zgodziła!

W wyobraźni dziewczyny zarysowała się nagle jak żywa pani Zarnicka, taka, jaką widziała wówczas, przy pierwszym spotkaniu w Zakopanem... Wyniosła, dumna pani o chłodnym, przenikliwym spojrzeniu, o zaciśniętych surowo ustach, z których padały słowa bezlifosne, twarde, jak stal, zimne i ostre jak policzek, opełzliwe i bolące...

Czyżby ona się zmieniła?... Jak się zachowa teraz, jak spojrzy, co powie...

Józję na samą myśl o matce Konrada zaczynała przebiegać drobne ciarki, a do ust nabiegała słodka, gorąca ślina.

Chciała zadać narzeczonemu jeszcze jakieś pytanie, odnoszące się do jego matki, ale przeszkodziła jej panna Antonina, która weszła porządnie już uczesana i ubrana w swoją odświętną suknię, jasno-czekoladowej barwy. Barwa ta była zresztą jak najniezwyklej dobranej do cery i koloru oczu panny Korzewskiej.

Konrad podniósł się z krzesła z głębokim ukłonem.

— Ciociu, mój narzeczony. Pan Konrad Zarnicki...

Konrad musnął lekko ustami podaną sobie chudą kościstą ręką, którą panna Antonina szybko cofnęła.